Ner. 8. Kraków 17 listopada 1866. Rok I.



Wychodzi co sobota o godzinie 9. rano.

Prenumerata miejscowa wynosi: *rocznie* 6 złr., *półrocznie* 3 złr., *ćwierćrocznie* 1 złr. 50 c. w. a.— Z przesyłką pocztową: *rocznie* 7 złr. 20 c., *półrocznie* 3 złr. 60 c., *ćwierćrocznie* 1 złr. 80 c. — *Prenumerata zagraniczna* bez **mód** i bez **nut** rocznie 8 złr. 30 c. w.a. **Mody i kroje** *rocznie* 3 złr. 30 c., *półrocznie* 1 złr. 70 c., *ćwierćrocznie* 90 c. w. a. **Nuty** rocznie 1 złr. 25 c., *półrocznie* 65 c., *ćwierćrocznie* 35 c. w. a.

W Krakowie prenumerować można w biórze redakcyi: ul. mikołajska 458, gdzie jest i ekspedycja, albo w księgarni Wgo. Czecha. *We Lwowie* można prenumerować i odbierać w ajencyi Hercoka i Arnolda na Halickiém. *W Poznaniu* w księgarni Mieczysława Leitgebra, Hotel du Nord.

Inseraty (stosowne) opłacają się od wiersza drobnego za pierwszorazowe umieszczenie po 7 c. następnie po 4 c. Każdą razą dokłada się 30 c. na stępel rządowy.

☞ Przy dzisiejszym numerze dołącza się dla prenumerujących nuty: „Les Adieux" na fortepian, i „Kołysanka" śpiew, przez Kazimierza Hofmanna".

Bratnia pomoc.

Jest u nas przysłowie, że kobiety wszystko mogą, co tylko chcą. Jeżeli to przysłowie jest prawdziwém, to możnaby mieć słuszny żal do naszych Pań, że tak mało chcą. Oto przykład:

W takich trudnych stosunkach, w jakich my się znajdujemy, żadne i najzacniejsze przedsiębiorstwo, którego cele i potrzeba są oczywiste — nie powiedzie się, jeżeli w każdym zakącie kraju osoby dobréj woli słowem i staraniem swojém popierać go nie będą. I tak się téż u nas wydarza. Wychodzą dzienniki dla ludu, jest wydawnictwo dzieł tanich i pożytecznych itd., a wszystkie mogłyby o sobie powiedzieć: „jam jest głos wołającego na puszczy", taka jest obojętność ogółu dla własnych swoich spraw. — Podobnie ma się rzecz i z akademickiém towarzystwem wzajemnéj pomocy w Krakowie. Zdawałoby się, że nic tak nie poruszy serca każdego ojca i matki, jak instytucyja, która ma na celu, aby każdy młody człowiek, chcący oddać się naukom, mógł śmiało przybyć na uniwersytet, bez obawy, że nie znajdzie utrzymania, że bieda przymusi go do porzucenia nauk. Zdawałoby się, że do kogo nie przemówi ogólna potrzeba oświaty, a więc potrzeba środków ułatwiających ją, do tego przemówią chociaż inne więcéj osobiste względy. Boć każda matka może sobie rozważyć, że jak na trwałość życia, tak w stosunkach naszych na trwałość majątku liczyć nie można. W razie osierocenia, w razie utraty majątku, pozostają dzieci na łasce Bożéj i na ciężkiéj łasce ludzi. Ileż to więc przybędzie spokoju każdéj matce, jeżeli będzie miała tę pewność, że są w kraju zakłady publiczne, które nie z łaski, bez próżb i upokorzeń, ale z obowiązku opiekują się wszystkimi bez wyjątku młodymi ludźmi, potrzebującymi pomocy, aby mogli w drodze nauki usposobić się do posług krajowych! A tymczasem cóż się u nas dzieje? Instytucyja taka istnieje już od roku, a dotąd liczy zaledwo kilkudziesięciu członków popierających — a taka sama we Lwowie zaledwo kilkunastu! Pomimo ogłoszeń, na prowincyi zwłaszcza, mało kto wie o tych instytucyjach, a jeszcze mniéj rozumie ich ogromną doniosłość i naglącą potrzebę.

Dawniéj w Polsce inne były stosunki. Do szkół wyższych uczęszczali wyłącznie tylko synowie majętnych rodziców, a obok nich i po klasztorach tuliły się gromadki biedaków, okupując służbą możność początkowéj nauki. Inni chodzili z garnuszkami po domach, lub żywili się jak mogli przy posługach kościelnych. Z czasem musiało się to zmienić. Maluczcy coraz więcéj do światła się garnęli, i dzisiaj już większa część młodzieży w wyższych zakładach należy do warstw ubogich. Nie zmieniło się tylko położenie jéj, bo można o niéj powiedzieć: że pcha biedę tém, że ucina od dołu, a u góry łata. Powstawały wprawdzie liczne fundacyje i stypendyja; takowe jednak dzisiaj po większéj części wartość swoją straciły — bo albo rozdawnictwo ich jest w niewłaściwych rękach, albo są przywiązane do warunków szlachectwa, albo są obliczone na potrzeby, jakie były kiedyś, a które do dzisiaj dzie-

sięćkroć się powiększyły. — Znać potrzeby młodzieży akademickiéj i zaradzać im mogą tylko ci, którzy żyją z nią, to jest sami koledzy. Na téj zasadzie polega towarzystwo wzajemnéj pomocy, i dla tego jest ono instytucyją najlepiéj dzisiejszym stosunkom odpowiadającą.

Nie tutaj miejsce, żeby wyliczać inne korzyści, jak rozbudzenie koleżeństwa, solidarności, opinii publicznéj, praktyka w zawiadywaniu sprawami ogólnemi, wyzwolenie młodych sił z mordującego jarzma zarabiania na kawałek codziennego chleba, z pańszczyzny pochłaniającéj najlepszy czas i ochotę itd.... Powracamy do tego, że wbrew najsłuszniejszym oczekiwaniom instytucyja ta nie zyskała dotąd w kraju ogólnego poparcia. Na liście członków honorowych nie czytamy wcale nazwisk poposiadaczy fortun magnackich lub kościelnych, nie czytamy nazwiska ani jednéj właścicielki dóbr lub kamienic, ani jednéj matki. I cóż pomyśleć o stanie społeczeństwa, w którém możliwe są takie wypadki, że młodzież z nędzy życie sobie odbiera, lub obłąkania dostaje? A w ostatnich latach było kilka takich wypadków. — Oto jest także kwestyja głodowa, która zrządza dla kraju daleko większe złe, jak tamta z nieurodzajów wynikła. Bo szkód, jakie kraj ponosi w zasobach umysłowych, na guldeny obliczyć się nie da. — I kogoż to nie zastanowi, że kiedy szkoły niższe są wszędzie przepełnione, uniwersytet liczy zaledwie 300 młodzieży; że potrzeby kraju wzrastają, a liczba skończonych ludzi się umniejsza.

Przypominamy więc sprawę téj instytucyi zacnym Czytelniczkom naszym, zapraszamy je do przystępowania na członków honorowych; zwracamy uwagę, że bez zapisów, legatów itp. instytucyja ta wzrosnąć nie może, a że zakwitnięcie i ugruntowanie jéj da krajowi jedynie rzetelną rękojmią, że mu nigdy na ludziach w żadnym zawodzie nie braknie. Ustalenie téj instytucyi, jest budowaniem przyszłości! Kończymy, odwołując się jeszcze raz do naszego przysłowia: niechajże kobiety wszystko chcą, skoro jak powiadają: wszystko mogą.

ŻONY NIEWOLNIKÓW.

(Ciąg dalszy.)

Role się zmieniły — bladość zeszła z twarzy Kryłowa, a wstąpiła na twarz Augusta, którego ten niespodziewany obrot rzeczy zmięszał i przeraził. Chciał skorzystać z krótkiéj chwili wolności i strzelił do kapitana, ale ręka jego w téj chwili trącona bagnetem żołnierza, źle skierowała rewolwer i strzał padł w zwierciadło. August pochwycony przez żołnierzy, puścił swego przeciwnika i z ponurém milczeniem poddał się losowi. Inni usiłowali ratować się ucieczką — wojsko ich ścigało. Na ulicach słychać było krzyki pijanego żołdactwa, popłoch, jęki i wrzawę,

Napad więc nie udał się, pomimo, że był dobrze obmyślany — z trzech stron podeszły oddziały powstańców pod miasteczko, niepostrzeżone przez nieprzyjaciela— uderzyły niespodziewanie i w pierwszéj chwili przeraziły nieprzygotowanych i rozespanych żołdaków. Ale brak broni wnet dał się uczuć. Moskale oprzytomniawszy trochę, z mieszkań swoich porobili fortece i zatarasowawszy drzwi, razili z okien naoślep gęstemi strzałami powstańców, którzy z rozpaczném ale bezskuteczném bohatérstwem rzucali się naprzód, usiłowali mimo strzałów dostać się do wnętrza domów i padali ranni. — Na domiar złego zapaliła się szopa, stojąca w bliskości koszar — pożar oświecił pole walki i pokazał szczupłe siły nacierających, co ośmieliło Moskali do zrobienia wycieczki. Temu był winien Kryłow swoje ocalenie.

Powstańcy zaś widząc niepodobieństwo utrzymania się w mieście, cofali się bezładnie za miasto przez płoty, ogrody, po za drzewami. Niejednego w takiéj przeprawie odszukała kula, padał gdzie pod płotem, za jaką stodołą i konał bez świadków, wśród nocy.

Rozbitki cofali się w kierunku wioski, w któréj mieszkał ojciec Anny.

Starzec po odejściu Jana był niespokojny mocno — zdawało mu się, że dobrze zrobił, że powinien był tak zrobić, a jednak teraz sumienie poczęło mu robić wyrzuty, rozsądek pasował się z sercem. Wydając broń, byłby przyłożył rękę do dzieła zapaleńców, stałby się współwinnym klęsk, jakie oni na kraj sprowadzą — ala przez zatrzymanie broni stawał się znowu winnym śmierci tych, którzy z gołemi rękami polecieli zginąć bez walki. Starzec miał duszę prawą — głos téj duszy mówił do niego teraz, że niemogąc ich wstrzymać, powinien był iść zginąć z nimi. — A rozsądek mówił znowu: po co bezpotrzebnie mnożyć ofiary? Garstka się zerwała — ta garstka śmiercią opłacić musi swoje szaleństwo i będzie cicho.— To go uspokoiło trochę— usiadł znowu i modlił się za mających umrzeć. — Po chwili zerwał się znowu z krzesła i zadzwonił na służącego. Przypomniał sobie, że córka jego nie wróciła jeszcze z miasteczka, zadrżał z obawy o los dziecka, gdyby napad zastał ją jeszcze w mieście.

— Siadaj na konia, pędź do miasteczka i proś pani, by natychmiast tu wracała — nie uważaj czy koń padnie, byleś coprędzéj —

W téj chwili odezwały się pierwsze strzały w miasteczku — starzec przerwał mowę i słuchał ze wzrokiem sztywnie wbitym w podłogę.

Strzały powtarzały się coraz częściéj — te strzały odbijały się w jego piersiach, wiedział, że to Moskwa tak często się odzywa. Krew zaczęła zapalać się w starym

żołnierzu, przypomniał sobie czasy, kiedy wśród dymu i wojennéj kurzawy słyszał takie strzały — oczy zatliły się ogniem młodości, pięści ścisnęły się mimo wiedzy. Strzały nie ustawały — płomień zajaśniał na dachach miasteczka — szeroka łuna zakrwawiła niebo. — Stary niemógł wytrzymać dłużéj

— Przez Bóg żywy, oni tam wyginą co do jednego — zaryczał boleśnie. Walenty, zwołaj ludzi — dobądź broń zakopaną w piwnicy — trzeba ich ratować — spiesz się.

Począł się wojenny ruch w domu szlachcica — on sam uzbrajał się i gotował do wprawy z rycerskim animuszem.

Niestety zapóżno. Rozbitki cofały się przez wieś — lud wiejski zaparł przed nimi chaty swoje, psy wyły i ujadały. Jeszcze powstańcy nie przeciągnęli całkiem przez wieś, gdy kozacy ukazali się koło mostu goniąc ich. Niezadługo nadciągnęła piechota i pomaszerowała prosto ku dworowi. Czeladź już dosiadła koni, przywiązana do pana dla jego łaskawości, nie wahała się ani na chwilę wypełnić jego rozkaz. Już mieli wyruszać, gdy w bramie pokazali się Moskale. Padły strzały — konie nieprzyzwyczajone do nich, zerwały się i ponosiły jeźdźców między bagnety żołnierskie, zrzucały ich po klombach — szalały i rzucały się wśród ciemnéj nocy i zamętu okropnego.

Stary dziedzic wypadł z komnat uzbrojony — już teraz nie miał innego pragnienia, tylko zginąć z honorem, po żołniersku. Los i tego mu odmówił, bo w chwili, kiedy wybiegł z ganku, jeden z przestraszonych koni uderzył go silnie w piersi tylnemi kopytami — starzec upadł w błoto i śnieg roztopiony — usiłował się podnieść, ale konie rozszalałe, co chwila przelatywały po nim jak po pomoście, tratowały go i wtłaczały coraz bardziéj w śnieg roztopiony. A tymczasem po dworze hulało pijane żołdactwo, rabując, niszcząc, tłukąc wszystko. Spokojny przed chwilą dwór zamienił się teraz w wrzaskliwe piekło, w dziką arenę rozbestwionych najezdników, którą oświecał pożar, ogarniający stodoły i spichlerze.

Na drugi dzień z tego całego widowiska zostały szkielety popękanych, sczerniałych i okopconych murów — opalone słupy — i trochę trupów krwawiących ranami brudny śnieg. Z trudem odszukano ciało dziedzica, tak głęboko wtłoczyły je w ziemię końskie kopyta, pokaleczoną miał twarz, powalaną błotem i splaszczoną.

Taką śmiercią bezczestną zginął w owéj nocy człowiek, który stanął z protestem przeciw wezbranym prądom burzy — upadł i burza przeszła po jego piersiach. Neutralność nie ocaliła go.

V.

Ofiara.

Przed bramą więzienia stał tłum niewiast, oczekując chwili, w któréj wolno im było widzieć się z więźniami. Widzenie odbywało się w sali sądowéj — każdego z więźniów wprowadzano osobno pod silną strażą, oficer przedzielał rozmawiających, niepozwalając im zbliżyć się do siebie i uważając pilnie, aby gestem lub słowem nie dawali sobie jakich znaków porozumienia. Po pięciu minutach odprowadzano więźnia napowrót do kaźni. Takie widzenie się było raczéj męczarnią niż pociechą — bo łkanie tamowało głos, łzy zasłaniały wzrok i często nieszczęśliwi rozchodzili się nie przemówiwszy słowa do siebie, nie usłyszawszy wzajemnie nic prócz płaczu, nie biorąc na długie chwile rozstania nic prócz przypomnienia swych zbiedzonych twarzy, wyrzeźbionych troskami i strapieniem. A jednak na tę krótką chwilę widzenia się z jakiemż utęsknieniem czekają żony niewolników, z jakąż męką wyżebrują pozwolenia u satrapy miasteczka, jakiemż upokorzeniem, prześladowaniem okupują tę chwilę. Żołnierze urągają im, odtrącają kolbami od bramy, cynicznemi żartami obrażają wstydliwą skromność dziewic. Okropny jest los kobiet narodu, który utracił swobodę — są to nowożytne Nioby, które nigdy nie mogą skamienieć z boleści. — Owe grono niewiast skupionych około drzwi więziennych, to ledwie jedna kartka z dziejów tych boleści, które targają lub hartują wątłe siły niewieście. Spotykamy w tém gronie Annę. Otulona w futro, siedzi na kamieniu pod murem więzienia, obok niéj jakaś wiejska kobieta zanosi się od płaczu i tuli w ramionach chore dziecko. To Tereska, żona Marcina, który także w owéj fatalnéj nocy dostał się do niewoli.

— Daj mi to dziecię — rzekła Anna — ono skostniało już od zimna. Ogrzeję je pod futrem.

I wzięła z jéj rąk dziecinę i otuliła je i usypiała na ręku.

— Jakie imię daliście temu dziecku? — spytała po chwili.

— Jan.

Anna zmięszała się, patrzała długi czas nieruchomo w siną twarzyczkę dziecięcia, jakby się namyślała i wahała nad czemś, potém spytała nieśmiało:

— Twój brat nie zginął? —

— Niewiem — między trupami go nie znaleziono.

W téj chwili szmer głuchy rozszedł się między kobietami, wszystkie z przerażeniem spojrzały w ulicę. Dwóch cieśli siedziało na wozie i jechali w ulicę, która prowadziła za miasto. Z wozu sterczały dwa końce świeżo ociosanego drzewa — to była szubienica.

Kobiety przeszedł dreszcz zimny, każda zadrżała o życie swego więźnia, każda bała się spytać drugiéj, by nie usłyszeć nazwiska swego męża, brata lub syna.

— Dla kogo to? — spytała Tereska głosem zmienionym.

— Jakiś August skazany na śmierć — rzekła Anna — wczoraj słyszałam oficerów mówiących o tém w mieszkaniu kapitana.

Kobiety patrzały za wozem czas długi, dopóki nie znikł z oczów. Niezadługo wyszła z koszar rota żołnierzy i uszykowała się przed więzieniem, czekając na skazanego, którego eskortować miała za miasto. Czekano tylko na kapitana. Na ratuszu wybiła dziewiąta, była to godzina przeznaczona do widzenia się z więźniami. Otwarła się brama, wyszedł oficer i odepchnąwszy kobiety cisnące się do drzwi, oświadczył: że dziś z powodu egzekucyi jednego z więźniów, widzenie się jest wzbronione. Jedna z kobiet przypadła do nóg oficera i prosiła rozdzierającym głosem:

— Panie! puśćcie mnie — niech ojciec pożegna dziecko, ono chore, skona mi na rękach, jutra nie doczeka.

Była to Tereska.

Oficerowi łzy stanęły w oczach — może to był Polak, może Moskal z sercem, może i on gdzieś nad Newą zostawił żonę i dziecko, — patrzał na rozpaczającą kobietę dziwnym wzrokiem, ustami klął ją, a oczami litował się — potém zmarszczył się ponuro, zacisnął wargi i rzekł:

— Nie łża — i odszedł, kryjąc wzruszenie przed ludźmi.

Tereska wybuchnęła gwałtownym płaczem, łamała ręce i szalała z rozpaczy. Anna starała się ją uspokoić, choć sama potrzebowała pociechy — i tuliła płaczące dziecko. Wtém coś mokrego dotknęło się jéj ręki, spojrzała na dół. Duży czarny pies stał przy niéj i lizał ją po ręce i wymownie patrzał jéj w oczy. Anna niespokojna obejrzała się wokoło, zdawała się szukać kogoś wśród ludzi. O kilka kroków od niéj stał jakiś chłop, który w chwili gdy spojrzała na niego, obrócił twarz w inną stronę. Ten człowiek zbliżył się potém do Tereski. Anna uważała, że coś do niéj przemówił, że Tereska uspokoiła się trochę, wzięła z rąk jéj dziecko i poszła za tym człowiekiem w boczną ulicę. Byłżeby to.... Zawarczały bębny — był to znak do wyprowadzenia więźnia — brama się otwarła i ukazał się w niéj August blady, ale spokojny i pewny.

W téj chwili Konstancyja przechodziła koło więzienia — szła jakby lunatyczka nie patrząc na nikogo, nawet na więźnia nie — w chodzie jéj znać było wysilenie, blada twarz zarumieniła się od pośpiechu. Szła prosto do mieszkania kapitana.

Kryłow wybierał się właśnie na egzekucyją, stał przed lustrem i gładził włosy — za wejściem Konstancyi obrócił się i z galanteryją zbliżył się do niéj.

— A! Toż szczęście dla mnie, cóż panią do mnie sprowadza? —

— Pan zapomniałeś panie kapitanie, że dziś ostatni termin naszego ślubu.

Kryłow tak dalece był nieprzygotowany to usłyszeć, że osłupiał z zadziwienia.

— Jakto? Pani byś chciała. —

— Dziś albo nigdy.

Kapitan wściekł się z radości — rzucił się na Konstancyję, chwycił ją wpół i przycisnął do siebie, wydając nie ludzkie prawie głosy.

Nie broniła mu się, choć w twarzy jéj boleśnie skrzywionéj, w zaciśniętych ustach znać było przymus i odrazę. Odsunęła go lekko ręką i rzekła pokazując na okno:

— Co znaczy to wojsko przed więzieniem?

— Jednego z buntowszczyków będą dziś wieszać.

— W dzień naszego ślubu? To zła wróżba. Kapitanie, ja na to nie pozwolę.

— Jutro znowu imieniny generała. —

— Więc dwa dni zwłoki, cóż to znaczy. —

— Gubernator rozkazał dziś.

— A żona prosi: za dwa dni.

Kapitan się wahał — potém wydał rozkaz i skazanego wprowadzono napowrót do więzienia.

Konstancyja pożegnała kapitana — mówiąc: do widzenia — wieczorem.

Wyszedłszy od niego, nie poszła wprost do domu, ale skręciła od kościoła w lewo w ciasną, pochyłą uliczkę, zabudowaną nizkiemi domkami, otoczonemi sadami. Do jednego z takich domków weszła, jakaś kobiecina wyszła ku niéj dygocząca od trwogi, wprowadziła ją w głąb sieni, otwarła drzwiczki i obydwie zeszły po wyszczerbionych schódkach do piwnicy. Kobieta owa zatrzymała się przy schodach, Konstancyja zaś poszła daléj, stąpając pewnie, choć ciemno było w piwnicy. W jednym kącie oświeconym trochę światłem, padającém przez małe okienko z góry, leżał na słomie jakiś mężczyzna, mający nogę obandażowaną. To był brat Konstancyi. Podczas napadu na miasteczko, raniony w nogę, upadł za ogrodem tego domu. Szczęściem, że mieszkańcy spostrzegli go pierwéj niż Moskale i w tę bezpieczną wprowadzili kryjówkę. Siostra uwiadomiona o tém, odwiedzała brata tajemnie. — Obok rannego stał jeszcze jakiś człowiek. — Był to ten sam chłop, którego widzieliśmy przed bramą więzienia. Konstancyja zbliżyła się ku niemu i rzekła cicho:

— Cóż?

— Śpi teraz — dziś rano wyjęto mu kulę. Trudno mu jednak będzie uciekać z nami.

— Trzeba go będzie wynieść w chwili zamięszania — ja będę czuwać nad tém. — Szczęśliwie dostałeś się pan do miasta?

— Rozstawione patrole obrewidowały mnie silnie i puściły.

— Egzekucyja Augusta odłożona do trzeciego dnia.

— To dobrze — inaczéj byłby zginął — napad odbędzie się dopiero jutro wieczorem.

Konstancyja zcierpnęła.

— Jakto — wszak na dziś ułożono —?

— Oddział nie zdąży na dziś — posuwać się może tylko nocą.

— Boże, to okropnie. Na dziś postanowiony ślub mój z Kryłowem.

— Staraj się pani odwlec.

— Gotów domyślić się, a wtedy wszystko przepadło. Co tu począć? —

Osłabiona oparła się o mur, pierś jéj falowała szybko, słychać było ciężki oddech.

— Żoną Moskala — to okropnie — wstrząsnęła się.

Jan patrzał na nią w milczeniu — z współczuciem.

— Ha, bądź co bądź, August żyć musi, ocalę go za jaką bądź cenę.

— Pani odchodzisz już? —

— Czy pan masz mi jeszcze co zlecić? —

— Znasz pani żonę Maurycego R.? —

— Znam.

— Skłoń ją pani do wyjazdu przed jutrzejszą nocą — w domu będzie bezpieczniejszą niż tu w miasteczku.

— Nie będzie chciała odjechać od męża — ona go tak kocha.

Jan milczał chwilę — potém rzekł:

— Powiedz jéj pani o całym naszym planie — tylko nie mów jéj pani o mnie.

— Pan ją znas dobrze?

— Znałem. —

Z tém rozeszli się. (Ciąg d. nast.)

PUSTKA.

z „Tarasa Szewczenki".

Świtem, rano ich pognano
Popisowych z jednéj gminy.
A za nimi nieszczęsnymi
Poszedł biednéj cień dziewczyny.

Matka, z sercem krwią zalanem,
Ją rozłącza z ukochanym.
Rozłączyła — tłómaczyła,
Póki w grób ją nie złożyła,
Sama poszla o żebranym . . . .

Lata przeszly. Wioska stoi,
Ani się zmieniła;
Tylko pustka w końcu sioła
Na bok się zchyliła.

Koło pustki drogą kroczy
I patrzy z daleka
W sadek, okna — serce bije . . .
Żołnierz to — kaleka.

Darmo patrzy — czarnobrewa
Z chaty nie wybieży,
Stara matka nie przywoła
Jego do wieczerzy.

A on kiedyś był wzywany,
Ręczniki się tkały,
Drobne rączki kraśną chustkę
Pelją wyszywały.

Myślał, że swą drogę życia
Uścieli kwiatami,
A przypadło — dolo moja!
Umywać się łzami.

Żołnierz usiadł. Na pierś biedną
Zchyliła się głowa.
Noc zapada. W oknie pustki
Wyhukiwa sowa.

Paulin Stachurski.

Manon Philippon Roland.

(Życiorys.)

„Francyja, mówi *Simon*, jest tak grzeczną, że ustępuje kobietom pierwszeństwa, nawet na gilotynie". Grzeczność ta ma poczęści powód w usposobieniu narodu, ale przeważnie w kobietach samych. Kobiety zmusily — że tak powiem — mężczyzn być grzecznymi, współzawodnicząc z nimi przez najtrudniejsze i najniebezpieczniejsze ofiary z życia, a często szczęścia i spokoju. I rzeczywiście przedstawia Francyja świetny szereg kobiet, których imiona otacza sława historyczna lub literacka; albo które wdzięczna pamięć narodu błogosławi. Nieraz rządziły Francyją kobiety, bądź to jako królowe, bądź jako mające najwięcéj wpływu na dworze; panie *Sevigné*, *Staël*, *Sand*... zajmują znakomite miejsce w literaturze nietylko francuskiéj; a komuż nie znana owa bohaterka ludowa, męczennica święta, owo dziewcze z Orleanu, która niby anioł z mieczem ognistym na czele wojsk Francyją od najazdu cudzoziemskiego wyzwala — a sama potém na stosie kończy!...

Ale w całéj téj litanii jest jedna postać wybitna nie wielkością pojedynczych czynów, jakkolwiek i na nich w życiu jéj nie zbywa; nie sławą pismienniczą, jakkolwiek jest i znakomitą autorką; nie polityczną rolą, jakkolwiek była duszą wielkiego stronnictwa, nie nadzwyczajnemi przygodami dziejów wewnętrznych, serdecznych, jakkolwiek te właśnie walki były szkołą jéj życia i prubą ogniową! Ponad tém wszystkiém stoi ona jako charakter, jako ideał kobiety, w całéj pełni tego wyrazu, jako wzór doskonałości ludzkiéj, o ile takowa jest możliwą; jako typ kobiety i obywatelki, przedsta-

wiającéj się nie w cichém odosobnieniu domowego zakąta, ale właśnie wpośród wiru wielkich i gwałtownych wypadków, w epoce „gdzie na ogromną skalę działy się rzeczy i ogromni występują ludzie“, w epoce rewolucyi francuskiéj. Przedstawia się ona jako geniusz w swojéj sile, czystości i wdzięku, muza jaśniejąca i surowa w całéj aureoli męczeństwa. Porwana prądem, nie zatraca nigdy charakteru, godności i cnót kobiety i pod tym to względem rozważanie jéj życia nastręcza głęboki pożytek, podaje wzór godny zaprawdę naśladowania; podaje niejedną naukę i tysiące pociech dla dusz myślących o wartości życia. Nie polityczka i nie literatka zajmować nas będzie, ale kobieta. Większych polityczek, większych autorek, sławniejszych heroin było wiele; ale zacniejszych kobiet, ale charakterów nieskazitelniejszych bardzo mało. Rewolucyja, stronnictwa, literatura to tylko tło i dekoracyje, wśród których się odgrywał dramat jéj życia, to dopiero jedna cząsteczka jéj dziejów. Dzieje jéj serca, jéj stosunki, jéj pożycie z mężem, jéj macierzyństwo, oto pojedyncze akta, układające się na jednolity, wspaniały charakter. Będziemy się więc starali przeprowadzić ten charakter, śledząc rozwoju i urabiania się jego od lat dziecinnych aż do ofiarnego zgonu, od pierwszych porywów serca, aż do ostatniego zaparcia się, śledząc chciwie za upadkami, (bo to rzecz ludzka, i takie tam trudne okoliczności przychodzą, że mimowolnie się je przypuszcza), ale na to tylko, aby się przekonać, że ich nie było. Rozważanie takie na szczęście jest dla nas możliwém. Spowiedź w ostatnich chwilach życia uczyniona, jest zapewne szczerą i prawdziwą; a taką spowiedź zostawiła nam pani *Roland* w swoich pamiętnikach pisanych w więzieniu, które jeden z przyjaciół z narażeniem życia uratował — i w licznych listach pisanych do przyjaciół. Czytanie tych rzeczy pozostanie na zawsze dla każdego człowieka z sercem, puszczającego myśl na wędrówkę za szczęściem, wielce zajmującém i zbawienném, najwłaściwszém dla poruszenia, napomnienia, pocieszenia i umocnienia.

I.

Wejdźmy do lichéj pracowni przy jednéj z bocznych uliczek paryskich. Widzimy tam dziewczynę piękną, która cały dzień cierpliwie oczy nadweręża rytując na miedzi, zarabiając przez to na życie dla siebie i ojca. Płeć jéj świeża, rumiana okazuje pochodzenie ludowe, ręka kształtna ale nie mała, usta trochę duże, szczęka dolna wydatna, kształty pełne, które — jak mówi *Michelet* — tak są rzadkie u tak zwanych dam z wyższego towarzystwa. Jest to młoda *Manon Phlippon Roland*, sierota. Matka, prosta sobie kobiecina, umarła nie dawno, ojciec rzadko kiedy w domu, zapija się, nie pilnuje rzemiosła, rujnuje się. Cały dom na głowie młodéj *Manon*. Domyśla się ona, że ich byt zagrożony, chciałaby wiedzieć wszystko, a tu z ojcem ani pogadać, owszem trzeba mu się uśmiechać, podtrzymywać go, zasłaniać przyszłość i udawać. „Wolałabym raczéj wyraźny świst grotów i okropność saméj walki, jak te głuche zapowieści ciosów, które mnie wyczerpują; ale jest to walka mądrego, wiodącego bój z losem“. Są to słowa 18to-letniéj dziewczyny. Oblicze jéj jaśnieje spokojem i wyrobioną już cnotą życia; niema tam senności i mglistéj sentymentalności, ale widać zdrowie i przedsiębiorczą, ruchliwą czynność. Widać, że praca jest dla niéj zbroją i tarczą w ciężkich stosunkach życia i ochroną przeciw wiosennym słotom, które każdą młodą duszę zakłócają. Na czole jéj myślącém ale pogodném, promienieje już święta ideja, nazywająca się o b o w i ą z e k. „Nikt mniéj odemnie nie zaznał uczucia rozkoszy, zawszem umiała panować nad sobą“. — I skądże już tyle hartu i wyrazistości charakteru w tak młodéj dziewczynie? Jakież bolesne koleje przechodziła ona już tak wcześnie? Pożal się Boże takiéj młodości! Zewnętrznych wypadków mało, ale dzieje wewnętrzne bogate, ale walki duszy ciężkie być musiały, skoro przez nie zdobyła sobie takie bogate zasoby wewnętrzne.

Z powodu niekorzystnego wpływu jaki mogło wywrzeć na nią lekkomyślne prowadzenie się ojca, oddała matka podrastającą *Manon* do klasztoru. Przebyła tam kilka lat jako wychowanka, wesoło, odważnie, chociaż w warunkach więcéj jak skromnych, w ubóstwie. Tam piękny nowy świat otwarł się dla budzącéj się duszy. Żywoty *Plutarcha* i dzieła *Russa*, to główny jéj pokarm. W jednym wzory cnót, zasług, zwycięzkich walk, z życiem na przebój, rozpalające widma zapału, sławy, wytrwałości; — w drugim idealne społeczeństwo ludzkie, szczęśliwe braterstwem, miłością, prostotą, ciszą błogosławionych. Zapragnęła żyć takiém życiem — i wnet tworzy się zaufane kółko rówieśnic. Stosunki i pożycie tego małego kółka układają się na modłę prawd, ideałów i obrazów z owych ksiąg zaczerpniętych. Panują tam republikańskie cnoty, ubóstwo, praca, wzajemność, surowość; mała *Manon* przejmuje się niemi zawczasu i to są najpierwsze i najsilniejsze jéj wrażenia. A pozostaje przy tém jeszcze serdeczne uczucie przyjaźni, które uszlachetnia całą jéj naturę. Jeżeli dwie dusze spokrewnią się przyjaźnią i jedna w drugiéj ma zwierciadło swoich własnych ideałów o doskonałości moralnéj, ma niejako uosobistnienie téj doskonałości, — wtedy każda nabywa wiary w szczęście, pozbywa się zwątpień, znajduje niewyczerpane pobudki do poświęceń. Błogo to jest za łzami smutku widzieć dobrotliwie uśmiechniętą twarz przyjaciela — a w upadku czuć jego rękę, która nas podnosi. Stosunek takiéj przyjaźni zawarła *Manon* w klasztorze z Henryką, a zwłaszcza z Zofią *Cannet*. Stosunek ten był dla nich wyborną szkołą; wyrabiał w charakterach otwartość, nawyknienie do refleksyi, do jasnego zdawania sobie sprawy z wszystkiego co tylko

młode głowy i serca zajmować mogło. Obie przyjaciołki poczęły uważać życie na seryjo, ze strony jego obowiązków. Nie będziemy tutaj zastanawiać się nad tém, czy w ogóle prawdziwa przyjaźń pomiędzy kobietami jest możliwą, tylko przedstawimy poprostu ten stosunek tak jak był, jak się utrzymywał aż do śmierci. Listy przyjaciołek są tutaj przewodnikiem, któremu można zaufać, i który nam przedstawi cały rozwój małéj *Manon* z dziewczęcia na dorosłą pannę.

Praca nad sobą samą, wykształcenie, były głównym przedmiotem zajęcia przyjaciołek. Młoda *Flippon* w chciwości wiedzy, w instynktowém poczuciu talentu, czyta co tylko jéj pod rękę wpadnie, robi wypiski, rozprawia o wszystkiem z przyjaciołkami. „Nie można się nic nauczyć, piszę im, jeżeli się tylko czyta: trzeba robić wyciągi, trzeba przetrawić na swoją własność wszystkie przedmioty, które chcemy zachować, przejmując się ich istotą“. Szczęśliwe i rzadkie usposobienie, które wszystko brało z natury, nawet wychowanie. Tą drogą musiała się wyrabiać u niéj samodzielność. Oprócz początków klasztornego wychowania, wszystko zresztą winna była sobie, z niskąd kierunku, pomocy, a otucha i pokrzepienie tylko z przyjaźni. Myślące te dziewczęta zajmują się światem i sobą z pewną sztywną powagą i deklamacyją, która nie harmonijuje z młodością i jest widocznie tylko przejściowym szczeblem w ich rozwoju. Skłonność do egzaltacyi i dewocyi jest tam tylko przedświtem budzących się dusz, które pragną sprostać wymarzonym ideałom. Z jakąż to surowością walczą z wadami swojemi. *Manon* pisze, że do 11go roku życia kierowała się pewnym rozumem, owiniętym jeszcze w ciemności dzieciństwa — odtąd dopiero promień jakiś boski począł jéj świtać. Ale obudził się nowy wróg, miłość własna i próżność. „Mam słuszność, że nienawidzę tego wroga, bo mi liche psoty wyprawia, jest to złodziej sprytny, który mi zawsze coś porwie. Połączmy się, moja ty dobra i kochana, aby mu wypowiedzieć wojnę, ja mu przysięgam nieubłaganą nienawiść“. — Takie rozważania nazywa *Manon* r e w o l u c y j a m i, k t ó r y c h t e a t r e m j é j s e r c e. I mówi dużo o tém sercu, które jeszcze wcale u niéj nie przemówiło. Ale zwolna, w miarę przybytku wiedzy, rozszerzają się i ramy zajęć; niebawem skrzydełka rosną; jeszcze chwila, a może już przyjaźń nie będzie wystarczać. — „Uniwersalność mnie zajmuje, piękne marzenie (jeźli się godzi zwać to marzeniem — *chimère*) o wszystkiém co pożyteczne podoba mi się i upaja mnie“. Książki już przestają wypełniać potrzeby wewnętrznego jéj świata. Już dusza do życia się wyrywa.

A to życie około niéj było bardzo przykre z powodu nieładu w domu, lekkomyślności ojca. O matce nie wiele wiemy, widać tylko w tém jéj troskliwość, że widząc jak było bystre pojęcie, a żywe i łatwo chwytające wszelkie wrażenia usposobienie córki, zwłaszcza w wieku, kiedy dusza się otwiera, niby kwiat na przyjęcie promieni słońca, starała się jak najczęściéj oddalać ją z domu, by zły przykład ojca nie działał na nią. I tak dłuższy czas musiała bawić u stryja, kanonika w Vincennes, gdzie jéj było ciasno i nudno. Oto jak opisuje tamtejszą prozaiczną codzienność. „Podczas gdy kanonik w okularach na nosie rozpuszcza swoje stare basy pod trzęsącym się smyczkiem, ja muszę skrobać po skrzypcach; drugi kanonik towarzyszy nam na piskliwym flotrowersie; oto koncert zdolny wszystkie koty wystraszyć. Gdy skończą ci panowie, winszują sobie nawzajem i kadzą; ja wtedy ratuję się ucieczką do ogrodu i zrywam sobie kwiaty; idę na podwórze, przyglądam się kurom, zabawiam się z kurczątkami, a w głowie zbieram i przypominam sobie co tylko mogę z nowości, z wiadomości, aby orzeźwić otrętwiałą wyobraźnią i wyzwolić się z tych konwersacyj kapitulnych, które mnie usypiają: oto moje życie, ciszy nie przerywa nic, chyba pianie kogutków“. (Ciąg d. nast.)

ROZMAITOŚCI.

Teatr. Zapowiedziane opery rozpoczęło przedstawienie „Paziów“ St. Dunieckiego. Prześliczna muzyka téj operetki, która zawsze do teatru liczną publiczność ściąga, stała się już niemal ludową, a upowszechni się jeszcze więcéj, gdy cała partytura niebawem z druku wyjdzie. — Dawano potém Offenbacha „Wesele przy latarniach“. Ocenienie nowych sił zaangażowanych do opery, zachowujemy do kroniki aż po przedstawieniu „Halki“ (22go t. m.) i „Hernaniego“. — Z innych przedstawień wypada zapisać „Poczwarkę“ i „Zbójców“. Efektowy ten zlepek, przerobiony z powieści, może się utrzymać na scenie tylko doskonałą grą artystki, przedstawiającéj rolę tytułową. Dziewczyna wiejska, dziecko natury „Kopciuszek“ dzika i obdarta, staje się pod wpływem uczucia i przykrych wypadków życia, zacną kobietą, charakterem skończonym. Pani Parźnicka, któréj to zadanie przypadło, zyskała liczne oklaski, na które zasłużyła. — W niedzielę przeszłą przedstawiano „Zbójców“ — dawno już nie widzieliśmy podobnego natłoku w teatrze — krzesła, loże, parter, balkon, galeryja przedstawiały ruchome ściany głów ludzkich — choć grano sztukę powszechnie znaną i już tyle razy przedstawianą na naszéj scenie. To powinno przekonać dyrekcyją, jak publiczność nasza spragniona jest dramatów, ale dramatów dobrych. „Zbójcy“ choć nie wytrzymują surowéj krytyki, utrzymują się jednak ciągle na scenach z wielkiém powodzeniem, bo grają w nich namiętności ludzkie, choć spotęgowane niesłychanie, które przemawiają zarówno do galeryi jak do parteru i są zrozumiałe dla każdego. Tę samą zaletę mają Szekspirowskie utwory, że w nich mówią i działają ludzie — podczas gdy w dramatach polskich, jakie dotąd znamy, mówi albo teoryjka polityczna, albo sam autor; osoby dramatów, owe królowe, mówiące wiecznie o poświęceniu; owi rycerze z pięknemi frazesami, są to pojedyncze zapatrywania się autora poprzebierane za Jadwigi, Barbary, stojące na kolumnach wierszy nużących słuchaczy.

Jakkolwiek nie leży w programie naszego pisma ocenianie gry artystów, przecież nie możemy zamilczeć o grze p. Rapackiego, (w roli Franciszka), która wywołała burzę oklasków w publiczności. Nawet ci, którzy mieli sposobność widzieć w téj roli takie znakomitości jak Królikowskiego, Lewińskiego wyszli z teatru zachwyceni i zdumieni. P. Rapacki przedstawił nam Franciszka szczególniéj w 5tym akcie, całkiem inaczéj, jak go dotąd widzieliśmy —

nie ucieka przed widmami które go straszą, nie widzi ich zewnątrz siebie, ale w sobie. Dusza zbrodniarza jest właśnie siedliskiem tych strachów i niepokojów, jakie nim miotają — to też Franciszek wpatrujący się w głąb swojéj duszy, drżący przed samym sobą — ma więcéj prawdy, a zatém siły w swym strasznym monologu. P. Rapacki takim właśnie go przedstawił.

— Donoszą nam w korespondencyi z Wiednia, że d 25 października odbył się tam koncert rzadki, prawie jedyny w swoim rodzaju. Wszyscy śpiewacy Wiednia i okolic w liczbie 1200tu — mały prawie korpus muzykalny — stowarzyszyli się, by śpiewać na korzyść wdów i sierot poległych w ostatniéj wojnie żołnierzy. Produkcyja ta odbyła się w szkole ekwitacyi w Burgu, pałacu cesarskim Jest to sala ogromnych rozmiarów, akustyczna, otoczona dwiema galeryjami, rzadko przystępna publiczności, gdyż rzadko używaną bywa do takich celów; przed laty odbywały się tam oratoryja bardzo słynne, z których dwa ostatnie „Paulus“ i „Eliasz“ Mendelsona w r. 1846 i 1847. — Już przed rozpoczęciem koncertu widok sali rzęsisto oświetlonéj, otoczonéj wokoło galeryi wieńcem promieni gazowych, publiczności bardzo dobranéj i eleganckiéj, a szczególniéj estrady, na któréj stanęło 1200 śpiewaków i dwie kapele wojskowe, był nader zajmujący. Między śpiewakami spostrzegano głowy siwe obok czternastoletnich chłopców. — Śpiew rozpoczęto chórem Bethovena „Na cześć boską“. — Program składał się z ośmiu sztuk: kompozycyje były Mendelsona, Gretrego, Wagnera, Schuberta, Abta, Kretzera, i pieśń gminna czarodziejskiéj piękności. — Wrażenie, jakie koncert ten sprawił, było imponujące, olbrzymie, wywołało burzę oklasków, na które rzeczywiście zasłużył. Precyzyja i delikatność w wykonaniu nie pozostawiały nic do życzenia, i zdumiewały słuchaczów patrzących na tę massę rozmaitych żywiołów, które w jedną zlały się całość. Koncert ten raz jeszcze w następną niedzielę był powtórzonym, a ponieważ ani jeden bilet wolnego wstępu nie był rozdanym, a cena miejsc była dosyć droga, dochód zapewne odpowie szlachetnemu celowi; podobno pierwsze przedstawienie przyniosło 3500 zł. w. a. czystego dochodu.

— Współpracownik nasz Elpidon, autor „Przebudzonych“, napisał nową powieść dwutomową, p. t. „Starzy i młodzi“, która teraz wyszła w Lipsku. Rzecz powieści odbywa się w Galicyi między rokiem 1859—1862, osnuta na wypadkach historycznych. Nabyć można w księgarni Grzybowskiego, w Krakowie.

— W artykule „z przyrody“ podaliśmy niektóre przykłady zbiorowéj siły roślin. Pan Plateau w Brukselli wydał obecnie dziełko o sile owadów. Zwykły chrząszcz np. może uciągnąć czternaście razy swój własny ciężar, gdy koń tylko 6—7.

— List miłosny: Gdybyś pani nie była twardszą od porfiru i agatu, dłuto miłości mojéj pobijane młoteczkiem mojéj wierności, miałoby jakąś władzę nad panią. Ja, który najsurowszym materyjałom nadaję dowolne kształty, spodziewałem się, że kompas rozumu, pilnik stałości, łagodny skrzyp przyjaźni, politura słów moich zrobi z pani jeden z najpowabniejszych posągów na świecie. Lecz niestety, jesteś pani najnieczulszym głazem, a jednak opętałaś duszę moją, chociaż ci marmur mrozu zazdrości. Miéj litość, niewiem co mówię, co czynię. Mam rzeźbić dragona, a tu patrzę, amorek zpod dłuta mi wyziera. — Taki list odebrała niedawno temu pani Rigault, restauratorka w Paryżu, od jednego ze swoich stołowników. rzeźbiarza. List jako żart obiegał z rąk do rąk. — Smutny jednak koniec żartu, bo rzeźbiarz oszalał z miłości i jest obecnie w domu obłąkanych.

— Na jednéj z kolei francuskich zdarzyło się w tym czasie, że w wagonie, który długo stał nieużywany, założyły sobie ptaki gniazdo. Kiedy nareszcie ten wagon zaprzężono, zdziwiło to konduktora, że raz poraz z niego ptaki wylatują. Spostrzeżono nareszcie gniazdo, w którém już były pisklęta. Rodzice nie bojąc się turkotu, nie opuścili ich, ale owszem wśród dalekich, nieznajomych okolic wyszukiwali żywność, towarzysząc pociągowi i karmili małe. Na uczczenie téj macierzyńskiéj odwagi i poświęcenia, kazano za powrotem wagon odstawić i nieużywano go póty, aż pisklęta podrosły i uleciały.

— Poznanie, pokochanie i zaręczyny w jednéj chwili odbyły się, nie w teatrze, ale na jednym z cmentarzów wiedeńskich w dzień zaduszny. Panna L. córka kapitana, poległego w ostatniéj wojnie, modliła się na grobie matki, również nie dawno zmarłéj. Przystąpił do niéj młody człowiek i oświadczył, że służył pod jéj ojcem i wiele o niéj słyszał od niego, że wie o jéj osieroceniu, że się utrzymuje z haftowania, i że on byłby najszczęśliwszym, gdyby jéj rękę mógł pozyskać. Sytuacya i sama rzecz była wzruszającą, p. L. uwierzyła w szczérość oświadczenia i wyszli razem ze cmentarza już jako narzeczeni.

— Fotografie, które dopiero za pomaczaniem wodą występują na jaw, posłużyły niedawno temu w Wiedniu do dwóch ciekawych scen. Pani domu, wobec licznych gości, wydobyła za pomocą wody fotografiję znanéj tancerki. Mąż na ten widok zmięszał się, goście się uśmiechali, domyślając się, że był to sposób użyty przez panią domu do zdemaskowania pozadomowych spraw męża. Mimo to wieczór odbył się przyzwoicie. Na drugi wieczór za kilka dni, znowu pani fotografije wyciąga, macza wodą i wreszcie zaciekawieni goście zobaczyli odfotografowany list adwokata, w którym donosi pani domu, że wszystkie kroki do jéj rozwodu już poczynione.

Korespondencja „Kaliny“.

Panu B. R. we Lwowie. Nie możemy inaczéj przypuścić, tylko, że rozsądek pański był na spacerze, kiedy pan układałeś swoją powieść i kiedy ją do nas wysyłałeś.

Pani A. K. w Sn. Artykuły wstępne z Nr. 4, 6, i 7. dotknęły już kwestyi oświaty i to w sposób zupełnie zgadzający się z zapatrywaniem Pani, dla tego umieszczenia artykułu Jéj, lubo napisanego z wdziękiem i precyzyją, uważamy za zbyteczne. — Prosimy o inne.

Dla **C...** nadesłano 4 zł. w. a. bez podpisu. — Ponieważ w skutek ogłoszenia naszego C. dostał oprócz wymienionych wsparć także stypendium od Towarzystwa Naukowego w Krakowie — przeto nasze pośrednictwo w tym względzie uważamy za skończone.

INSERATY.

Odpowiedzialny redaktor i nakładca Tadeusz Wojciechowski.

Kraków. — W drukarni c. k. Uniwersytetu Jagiellońskiego pod zarządem K. Mańkowskiego. 1866.